

ROZDZIAŁ 1

LOTHAR

Ocknąłem się, bo ciepła krew zaczęła napływać mi do ust. Otarłem wierzchem dłoni wargi i nos, z którego kapła. Zamrugałem kilka razy, żeby wyostrzyć wzrok. Oparty o kierownicę leżałem jak marionetka, która bez pomocy lalkarza nie mogła zrobić nawet jednego ruchu. W tym gównie nie było poduszek powietrznych, pewnie Gabriel je zdemontował. Ledwie udało mi się unieść głowę, dzwoniło mi w uszach, ale powoli zaczynałem kojarzyć, co działo się wokół. Wreszcie odszukałem zapiecie pasów i wyszarpałem się z nich. Otworzyłem drzwi i wysiadłem, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Upadłem na asfalt; żwir z zadziwiającą siłą wbił się w mój policzek. Czułem zapach benzyny, a usta wypełniał mi posmak krwi. Splunąłem nią i zacisnąłem zęby, wypuszczając z siebie przeciągły jęk.

Gabriel.

Musiałem sprawdzić, co z nim. Zgięty wpół, powoli podniosłem się na kolana, a potem, łapiąc za drzwi samochodu, stanąłem na nogi. Spojrzałem na auto – przód był wbity w drzewo. Niby jakim cudem znaleźliśmy się na przedmieściach, tuż przy wjeździe do Bieleho Kostola, dzielnicy bogaczy...? W oddali dostrzegłem światła, chyba dochodziły z jakiegoś domu. Nie mogłem wystarczająco się skupić, ale wiedziałem, że zaraz pojawią się gliny, ktoś już musiał je wezwać, huk uderzenia z pewnością poniósł się sporym echem. Ruszyłem ratować kumpla. Pod podeszwami słyszałem chrzęst odłamków szyb.

– Gabriel, wstawaj! Kurwa... – Resztką sił starałem się wyszarpać go i odciągnąć od auta, przecież mogło się w każdej chwili zapalić.

Walczyłem, jak mogłem, chwyciłem go pod pachy i krok po kroku odsuwaliśmy się od tego złomu. Gabriel był ciężki, cięższy, niż przypuszczałem. Zerknąłem przelotnie na swoje ramię, bo bark palił żywym ogniem, i zobaczyłem krew wypływającą spod sporego odłamka szkła, ale to mnie nie powstrzymało. Zagrożenie było zbyt realne, by odpuścić.

Nie mogłem zostawić kumpla, więc wlokłem go dalej. Każdy centymetr zdawał się coraz gorszy, ręka zaczynała mi mrowić, momentami wcale jej nie czułem. Kiedy opadłem już z sił, a oddech sprawiał niewyobrażalny ból, położyłem Gabriela i osunąłem się na kolana tuż obok. Świszczało mi w płucach, gdy łapczywie brałem powietrze; nie potrafiłem zapanować nad ciałem. Adrenalina nadal krążyła w żyłach, ale czułem przebłyski bólu, igły przeszywające skórę, nerwy, mięśnie. Kiedy to wszystko puści, czeka mnie niezłe pierdolnięcie.

Spojrzałem znów na ramię. Krwi było coraz więcej, ale odłamek stanowił niezłą tamę, nie mogłem go ruszyć. Kurwa.

– Stary! Budź się. – Klepałem kumpla po twarzy. Widziałem, jak drgają mu powieki, strużka ciemnej krwi wypłynęła z kącika ust. – No już, dawaj!

Jego ciałem wstrząsnął dreszcz, zaraz drugi. Gabriel zaczął pluć krwią, ale otworzył oczy, nawet w słabym świetle latarni dostrzegłem, że jedno miał całkowicie przekrwione. Pomarańczowa poświata rzuciła cień na jego obtłuczoną twarz. Zacząłem sprawdzać, czy miał coś wbite. Skąd ta krew? Uraz wewnętrzny? Dotknąłem klatki piersiowej, a wtedy Gabriel zawył z bólu.

– Kurwa, coś złamałeś, ale się wyliżesz. Nic nie mów... Ciii...

Próbował coś wyrzeźbić, chwycił się mojego ubrania, ścisnął i spojrzał tymi swoimi jasnymi oczami. Widziałem ból wyostrajający mu rysy przy każdym najmniejszym drgnięciu.

– Damy radę, jest dobrze. Patrz na mnie cały czas. – Rozejrzałem się rozpaczliwie.

Gabriel zaczerpnął mocno tchu, który jakby ugrzęzł mu w gardle. Sekundę później jego ciało opadło bezwładnie, wszystkie mięśnie się rozluźniły, poczułem to całym sobą.

– O nie... – Ułożyłem go równo na ziemi i zacząłem masaż serca.

Kiedyś słyszałem, żeby robić to mocno, bez przerwy. W dupie miałem, czy połamię mu żebra, musiał żyć. Uciskałem bez chwili wytchnienia. Znów zacząłem się rozglądać; czy ktokolwiek tu był?! W oddali spostrzegłem sylwetkę, ktoś odchodził. Nie zamierzał nam pomóc...? Nawet się nie zatrzymał!

– Pomocy! Wezwij karetkę! – wrzeszczałem w przerwie między sztucznym oddychaniem, nie przeszkadzał mi odór alkoholu ani posmak krwi.

Dłonie, ramiona, barki... wszystko paliło, jakby ktoś uderzał mnie rozżarzonym łomem, ale walczyłem, nie mogłem się poddać. On musiał żyć, nie było innej pierdolonej opcji.

Słyszałem ujadanie psa. Minęły chyba całe wieki, zanim gdzieś w oddali w końcu zaczęły pobrzmiwać ludzkie głosy. Ktoś krzyczał, że dzwonili już po karetkę, że pomoc jest w drodze, a później właśnie te cholerne syreny przywróciły mnie do rzeczywistości, jakby nagle włączono mi ostrość. Byłem skupiony wyłącznie na tym, by uciskać, Gabriel uderzał o asfalt, niemal waliłem w niego. Z ramienia spływała mi krew i moczyła mu dżinsową katanę. Nie obrazisz się o to, stary, wiem to. Nawet ci ją, kurwa, wypiorę, tylko ocknij się wreszcie. Wielka plama stwarzała złudzenie postrzału. Czułem się jak w kiepskim filmie, jak w horrorze klasy zet, i marzyłem jedynie o tym, by się obudzić.

– No weź ten jebany oddech. Weź go, proszę!

Dwa wdechy i trzydzieści ucisków. I jeszcze raz. Dwa wdechy, trzydzieści ucisków. Ile już minęło. Z dziesięć minut...? Nie czułem własnych dłoni, widziałem je, ale nie potrafiłem przypisać im konkretnego bólu. Odrętwienie osiągnęło szczyt.

Migoczące światła, syreny i odciągające mnie ręce kazały przybrać postawę obronną, ale byłem za słaby. Ktoś mnie podtrzymywał, a ja próbowałem się wyrwać.

– Zajmiemy się nim, proszę się odsunąć, jest pan poważnie ranny. Proszę się uspokoić – słyszałem jak przez mgłę. Obserwowałem, jak ktoś zajmuje moje miejsce, szybko rozpina Gabrielowi koszulę i podłącza elektrody defibrylatora.

– Analiza rytmu serca. Nie dotykaj poszkodowanego.

– Pan był pasażerem? – zapytał drugi z ratowników, zasłaniając mi widok.

– Brak rytmu do defibrylacji.

– Ma pan przy sobie jakieś dokumenty?

– Analiza rytmu serca. Nie dotykaj...

Pisk urządzenia wwiercał mi się w mózg. Facet co jakiś czas potrząsał mną, mówił do mnie, ale wszystko było tylko szumem w tle. Nie mogłem oderwać wzroku od Gabriela. No już, dawaj, stary...

– Brak rytmu do defibrylacji.

Czułem fizyczny ból w całym ciele – pieczenie rozcięć, rwanie nadwyrężonych mięśni... Ale niedowierzanie nie pozwoliło mi czuć bólu serca nawet wtedy, gdy jeden z ratowników po czasie zaczął tak po prostu się zbierać. Odłączył elektrody, otworzył etui, schował sprzęt.

– Co, już...?! Ratujcie go! On jeszcze nie... jeszcze nie...!

Tyle czasu walczyłem o niego, a oni tak po prostu się poddawali! Mechanicznie wykonywali swoją pracę, a ja miałem trwać z krwią na dłoniach?

Wściekłość zalała mi oczy, znów zacząłem się szarpać, wtedy czyjeś ręce złapały mnie za ramiona. Kopąłem, wrzeszczałem, a ciepłe łzy spływały mi po policzkach...

– Kierowca nie żyje, pasażerem zaraz się zajmiemy... – rzucił sucho ten, który mnie przytrzymywał.

Jak miałem powiedzieć to Oliverowi? Jak miałem mu powiedzieć, że nie uratowałem jego młodszego brata?

Zerwałem się i usiadłem na łóżku. Dotknąłem gołej klaty, pot spływał z niej strużkami. Za każdym razem właśnie tak się budziłem z tego zasranego snu. Koszmary powracały coraz rzadziej, ale jednak miewałem je. Przeżywałem tamtą noc kropka w kropkę, zawsze tak samo... Czasami tylko Gabriel wstawał po tym wypadku i patrzył na mnie, jakby chciał powiedzieć: „to twoja wina”.

Kilka tygodni miałem wyjęte z życia. W szpitalu leżałem tylko do pogrzebu, który był... przerażający. Jak można znaleźć określenie na coś takiego? Nie można. Oliver o mało nie wskoczył do grobu, gdy spuszczali trumnę. Ich ojciec łkał, szlochał wręcz. Nie wstydził się łez i pierwszy raz zobaczyłem je tak obfite, spływały z pociągłej, nieogolonej twarzy. Wzrok miał pusty, a kiedy składałem mu kondolencje, wiedziałem już, że chciał zapytać. Po prostu to wiedziałem... Wyznałem więc prawdę; jedyną, na jaką się zdobyłem. Gabriel nie zdołał nic powiedzieć. Nie mogłem przekazać rodzinie jego ostatnich słów, bo ich nie pozostawił. Byłem jak ten pierdolony żniwiarz, przywlokłem złą nowinę, bez grama pocieszenia.

Oliver przeżył załamanie. Krzyczał, dlaczego dałem prowadzić jego bratu, a przy okazji wylał na mnie wiadro pomyj, pytając, dlaczego go nie ratowałem i czy się bał. Aż w końcu zaczął dziękować, że zostałem przy nim, że nie umarł sam w strachu i cierpieniu, że mógł patrzeć mi w oczy. Nie powiedziałem słowa, po prostu pozwoliłem się okładać pięściami, licząc, że ten mój wewnętrzny ból chociaż się zmniejszy. Nic z tego. Od tego czasu unikaliśmy tematu i byłem szczerze zdziwiony, że Oli się nie wyprowadził, a wręcz przeciwnie – zawlókł swoje dupsko za mną do nowego domu pod miastem.

Wstałem i poszedłem pod prysznic, by zmyć z siebie chociaż część tego gówna. W drodze zgarnąłem z komody cztery małe paczki Skittelsów. Powinno mnie mdlić już od tych słodczy, ale dwa smaki przywoływały wspomnienia, więc jadłem je dzień w dzień jak pieprzony narkoman. Może znów powinienem przejechać się po okolicy, popytać sąsiadów albo zrobić coś więcej? Ta sprawa nie dawała mi spokoju, to zniknięcie... Było w tym coś tak cholernie niepasującego do Weroniki. A może po prostu jej nie znałem? Wróciłem po dwóch miesiącach i nie mogłem uwierzyć, że ich dom został sprzedany. Dowiedziałem się też o wypadku rodziców Weroniki, ale im głębiej drążyłem, tym mniej rzetelnych informacji dostawałem. Jej telefon nie odpowiadał, fakt, swój straciłem w wypadku, potem leżałem w szpitalu, ale jak tylko stanąłem na nogi, od razu zacząłem się do niej dobijać. Na marne. Może ona jednak nie chciała mieć ze mną kontaktu? Może to wszystko między nami było tylko chwilową słabością, kaprysem, niczym więcej...?

Schodząc po schodach i wkładając T-shirt przez głowę, usłyszałem trzaśnięcie drzwi wejściowych. Tibor wszedł do środka z papierową torbą.

– Taco, znowu meksykańskie? – zapytałem, widząc, jak wchodzi w tych swoich ciężkich buciorach.

Czy mi to przeszkadzało? Chyba nie.

– Co zrobię, że uwielbiam to żarcie.

– Kumam, ale na śniadanie?

– Jest prawie jedenasta, za chwilę możesz szykować obiad.

– Wystarczy mi jajecznica z bekonem i kawa – mruknąłem, wchodząc do kuchni. Niechcący kopnąłem stojący karton przy wejściu. – Cholera, trzeba tu kiedyś posprzątać.

– Mówiłem zaraz po przeprowadzce, żeby brać firmę sprzątającą.

Odsunął krzesło od wyspy kuchennej, zahaczając łańcuchem od spodni o szafkę. Wiedziałem, do czego lubi wykorzystywać ten łańcuch.

– A ja nadal mówię, że nikt nie będzie grzebać w moich rzeczach.

– Pewnie, niech stoją kolejne pół roku.

Spojrzałem na kalendarz wiszący na gwoździu na szarej ścianie, która prosiła się o kubel farby. Faktycznie mieszkaliśmy tu już ponad pół roku, a kuchnia wyglądała tak jak w pierwsze dni. Może poza blatami i sprzętami, bo te kupił Oli. Przy starych, obdrapanych szafkach wyglądały jak nieudolnie wklejone w Photoshopie, ale nie przejmowałem się tym. Nie potrzebowałem marnować czasu na dogadywanie się ze stolarzem, wolałem to zostawić, jak jest. Cała reszta domu robiła lepsze wrażenie, ogarnięte było to, co dało się zamówić przez internet z dostawą pod drzwi.

– Jedziesz na jakąś robotę? – spytał Taco, widząc, że grzebię w szufladzie za kluczami.

– Coś pojawiło się na horyzoncie, jutro mam dograć spotkanie u klienta. Dziś wyskoczę do chłopaków sprawdzić, czy transport idzie gładko.

– Malowanie czy cięższy kaliber?

– Wiesz, że wolałbym tego unikać. Malowanie, sprowadzili jakiś motor – mruknąłem bez nastroju.

Od wypadku nie prowadziłem auta na akcji, przez parę tygodni brałem dostawy, drobne przerzuty, a potem wycofywałem się ze wszystkiego, z czego tylko się dało. Oczywiście większość osób nie była zadowolona, gangsterka na pół etatu nie wchodziła w grę, ale sukcesywnie odcinałem się od tego świata i wierzyłem, że w końcu uda mi się całkowicie z nim zerwać.

– Dobrze, chwytaj zlecenia, może wreszcie rozkręcimy legalny biznes.

– Nie sądzę. Wieczorem ma wpaść ktoś na zmianę rejestracji i koloru, to coś na cito...

– ...więc najpewniej napad albo coś grubszego – dokończył za mnie.

Skinałem głowę.

– Znam ich?

– Nie, ale są od Łysego, jemu nie chcę odmawiać – odpowiedziałem.

– Skurwiel przejął już kawał terenu, ma coraz więcej ludzi.

– Wiem, nie podoba mi się to, ale nie uniknę jego pacholków.

– Może w końcu się uda. On od początku rozumiał, że chcesz się wycofać.
– Ta... – przytaknąłem bez entuzjazmu.
– Więc dziś trzymamy się na baczność, a jutro zlecenie u kogoś nowego, tak? Spoza branży?

– Stary znajomy, dwa lata temu załatwiałem mu parę samochodów.
– Czyli czekają nas intensywne dni. Ogarzę nam żarcie na ten czas.
– Dobra, a gdzie Oliver?
– Siedzi w garażu, miał rozpakować wczorajszą dostawę.
– Świetnie, może zabiorę go ze sobą. – Podeszedłem do okna i mimochodem spojrzałem na zewnątrz. Włoski na karku momentalnie mi się podniosły.

– On z kimś rozmawia... Kurwa, i to nie jest pogawędka.
Nie wahałem się, przeszedłem przez korytarz i otworzyłem drzwi do garażu. Dochodziły już do mnie odgłosy rozmowy. Schyliłem się i wziąłem z półki swoją pałkę teleskopową. Dobrze leżała w dłoni.

Wyszedłem na podwórze.
– Jakiś problem? – spytałem i wolno ruszyłem w stronę dwóch typków, którzy pojawili się na moim terenie i ewidentnie czegoś tu szukali. Wpierdolu.

– Mamy sprawę.
– Właściwie polecenie – dodał niższy i wsadził rękę do kieszeni. Grał pewnego siebie, ale tylko grał, bo każdy jego ruch zdradzał nerwowość.

– Polecenie? – parsknąłem, prawie krztusząc się śmiechem.
– A wy od kogo? – spytał Oliver, przystając obok. Skrzyżował ręce na piersi tak, by uwidocznąć wytatuowane dłonie.

A mnie już skończyły się pokłady cierpliwości, mogli być nawet od samego prezydenta, wszystko było mi jedno. Mój teren – moje zasady. Nie miałem dziś ochoty na wizyty.

– Nie będziemy tracić czasu na czcze pierdolenie – odezwał się znów ten pierwszy. – Mamy towar, trzeba go upłynnić, a wy macie nam w tym pomóc. Bez gadania, bo to pilne.

Spojrzałem na Olivera. Jego mina od razu się zmieniła, wiedział, że przekroczyli niewidzialną granicę. Mnie się nie rozkazywało; pięć lat temu czy teraz – nic w tej kwestii się nie zmieniło. Od zawsze miałem swoje zasady, a gdy tylko ktoś próbował je złamać, nadciągał jego koniec.

– Nie dogadamy się. – Rozłożyłem ręce, jakbym chciał zwyczajnie przeprosić. – Mógłbym pomóc, ale mają najebane w głowie jak w śmietniku.

– Przywieźli pięć kilo zielska – odpowiedział Oliver.

To mogło być ważne... Kilka gangów z okolicy tym handlowało, część nie pojawiłaby się tutaj bez co najmniej tuzina ludzi. Czyli byli nowi albo skrajnie głupi.

– Przyjechaliście z towarem do człowieka, który nie handluje? – Oliver uniósł brew i prychnął. – Dopiero co wypił kawę i myślicie, że to się dobrze skończy?

– Im tego nie tłumacz. Wyglądają, jakby instrukcję do tosterka czytali przez tydzień.

Parsknęliśmy śmiechem. Faceci zaczęli się niecierpliwić.

– Macie pół minuty, żeby wsadzić dupy do swojego samochodu i zniknąć. Udam, że nie wiem o sprawie. Inaczej...

– Inaczej co, grozisz nam? Wiesz, od kogo jesteśmy? – wysapał jeden z nich nienaturalnym głosem, udając chojraka.

– Gdyby to był ktoś, kto mnie zna, wjechalibyście na posesję, zadzwoniwszy wcześniej grzecznie z informacją i prośbą o jebane pozwolenie. Tymczasem straciliście... – Spojrzałem na Olivera.

– ...dwadzieścia sekund – powiedział z uśmiechem. – Potem strzelamy czy sprawdzamy, jak się mają nasze pięści?

– Tak czy inaczej, to nie potrwa długo, nie jadłem śniadania. Macie jeszcze pięć sekund. Trzy na odpalenie silnika, dwie na modlitwę.

Usłyszałem za sobą trzaśnięcie drzwi. Nie musiałem się odwracać, wiedziałem, że to Taco. Na pewno nas obserwował, pewnie też zdawał sobie sprawę, że przy dwóch gościach nie potrzebna jest jego interwencja; no chyba że chciał mnie przytrzymać. Nie uśmiechało mi się spędzić następnych kilku lat w pudle. Wywinąłem pałką w górę i dół, trącąc ją o udo, i sprowadziłem ją do początkowej pozycji.

– Pavel, mówiłeś, że pójdziesz szybko – odezwał się niższy gość.

– No właśnie, Pavel... – sarknął Oliver. – Obiecałeś kumplowi szybką akcję.

– Ale nie miał pojęcia, na kogo się natknie – powiedziałem i nie czekając już na ich wysrywy, rzuciłem się do przodu.

Niższego powaliłem od razu – dwa uderzenia pałką i leżał twarzą do ziemi. Złapałem go za szmaty i przeciągnąłem po żwirze. Chrząst pod butami pobudzał wyobraźnię. Wiedziałem, że właśnie rozorałem mu policzek, może blizny zostaną z nim na zawsze i przyjazd tutaj będzie wspominać do końca życia. Ciągnąc typka, zbliżałem się do Pavla, który stał twardo, ale byłem pewien, że tylko udaje – drgał mu mięsień przy szczęcie, nawet zarost tego nie maskował.

Zostawiłem jego kumpla, a on – zapewne licząc na chwilę mojej nieuwagi – dopadł do mnie z pięściami. Pierwsze dwa strzały były mocne, jeden celny, bo poczułem metaliczny posmak w ustach. Uśmiechnąłem się na myśl, że moje zęby pokryte są krwią. Nie pozostałem

dłużny – odrzuciłem na moment pałkę i dałem piękny popis. Sierpowy na szczękę, w tors, parę razy pod żebra. Prawa, lewa, na zmianę. Znałem strategiczne miejsca, a on nie miał bladego pojęcia, jak się bronić, jak trzymać gardę. Skąd on się urwał?

Wiedziałem, że taka bitka nie przyniesie mi satysfakcji. Gdy powaliłem go na ziemię, facet dyszał, jakby przebiegł maraton, ale mnie było mało, więc zagryzłem zęby, napiąłem mięśnie i sięgnąłem znów po pałkę. Bez zastanowienia wbilem mu ją w udo. Naparłem całym sobą i poczułem, jak przebijam się przez skórę.

Krzyk tego pajaca o mało nie rozsadził mi bębenków... Nie zamierzałem przelecieć na wylot, chciałem mu tylko zostawić pamiątkę; gdybym miał czym, wyryłbym obok swoje inicjały.

Wstałem i splunąłem; wrzask nadal niósł się echem po okolicy.

– Nie krzycz tak głośno. Sąsiedzi znów pomyślą, że zakopuję kogoś żywcem.

– Pojeb! – wysapał jeszcze, a potem zaczął się czołgać w stronę samochodu.

– Pozbądź się ich – warknąłem do Olivera, strącając jego rękę z ramienia. Potrzebowałem bezpiecznika, za każdym pieprzonym razem musiał mnie ktoś zatrzymywać, bo hamulce mi szwankowały.

– Uprzedzałem... Jesteście po złej stronie. – Oliver kopnął tego nieprzytomnego i krzyknął w kierunku tego, który już niemal siedział w wozie: – Zabieraj kumpla i wypad, bo za moment wykopiecie sobie grób własnymi dłońmi!

– Liczę, że miałeś ich na celowniku, od tego tu jesteś – mruknąłem, przechodząc koło Taco. Stał ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, a cień uśmiechu błąkał mu się w kąciку ust.

– Tak? Myślałem, że się nudzisz i potrzebujesz rozgrzewki. Nie śmiałem przeszkadzać.

– Wiesz, że są na świecie ludzie, którzy chcą się mnie pozbyć, a ja lubię spać spokojnie.

– Zauważyłem i jedno, i drugie, i tak samo widzę, że nic z tym nie robisz, tylko hodujesz sobie nowych wrogów. Wiesz, że nie pracuję na cały etat – odparł.

Otarłem podbródek dłonią i wytarłem ręce w kawałek szmatki leżącej na drewnianej ławce przy drzwiach.

– Jedziemy. Zbieraj się, Oli! – rzuciłem i spojrzałem na telefon. Czas nas goni, kasa sama się nie zarobi.

– Brak ci dziś cierpliwości.

– Skończyła się szybciej niż ci ludzie na mojej posesji.

– Czasem się zastanawiam, do czego jestem potrzebny.

– Do odwalania czarnej roboty.

ROZDZIAŁ 2

WERONIKA

Zanim otworzyłam oczy, nasłuchiwałam, czy jest w pobliżu. Nie usłyszałam chrapania, sapania ani cmokania dezaprobaty, którym obdarzał mnie nawet w nocy. Nie wyczułam też zapachu perfum, które wylewał na siebie w kosmicznych ilościach. Uchyliłam powieki, wokół panował półmrok, żaluzje były lekko odsunięte, ale z podwórka nie docierało zbyt wiele oświetlenia. Kominek rzucał smugi światła na białą sypialnię, tym razem nie strzelało w nim drewno; elektryczny symulator idealnie komponował się z wyidealizowanym wnętrzem. Widziałam je tylko raz, przez chwilę, aż wzdrygnęłam się na to wspomnienie.

Leżałam na tak wielu poduszkach, że na pewno się zapadłam, kiedy mnie kładł. Pod dłońmi wyczułam satynę, nic nowego, przecież wyłącznie ją uznawał w sypialni. Usiadłam. Od razu się skrzywiłam, gdy poczułam okropny ból w okolicy żeber. Jęknęłam cicho. Odsunęłam szlafrok i satynową kusą koszulkę od kompletu. Na bandażu nie widniała krew, to dobrze, czyli rana się goiła. Przytrzymałam to miejsce ręką. Pulsowało, ale ból był przytłumiony. Dotknęłam twarzy i zaczęłam badać ją opuszkami. Rozcięta wargą i łuk brwiowy, za to nos cały. Jak on potrafił to robić, że nigdy mi go nie złamał? Zdziwiałające... Ostatnie, co zapamiętałam, to podeszwa buta. Wypastowanego, wymuskanego, lśniącego pieprzonego buta mości pana. Postawiłam się, a jego zaskoczona mina była warta tych kilku siniaków. Jak nie teraz, to zarobiłabym je później, za coś innego.

Stopy dotknęły puchowej wykładziny. Wstałam powoli i zerknęłam pod kominek – porządnie go doczyszczono. Nie został nawet ślad po kałuży krwi, którą wylałam tutaj wczorajszego wieczoru. Drzwi w rogu sugerowały, że znajdę tam łazienkę. Nie pomyliłam się, wyszukałam dłońią włącznik i zmrużyłam oczy, gdy na moment oślepiło mnie jasne światło. Wszystko białe – podłoga, ściany, armatura. Wzięłam głęboki wdech, oczami wyobraźni już widziałam te setki godzin, które trzeba będzie poświęcić, by wypolerować te płytki.

W kącie wbudowane było wielkie lustro. Spojrzałam przelotnie na siebie. Ten widok niczym mnie nie zaskoczył. Na policzku wykwitł mi już siniec, zmarszczyłam nos i jednak poczułam ból. Podeszłam do długiej umywalki, opłukałam twarz i kark zimną wodą. Zacisnęłam palce na brzegu szafki.

Znowu uległam, nie znalazłam w sobie tej odwagi, by wyznać komuś prawdę. Byłam takim tchórzem... A skoro nie potrafiłam przerwać tego horroru, to na nic innego nie zasługiwałam.

Marco...

Wróciłam do pokoju, a on już czekał. Oczywiście. Najpierw poczułam jego zapach, dopiero później go zauważyłam. Siedział w wysokim fotelu, ręce złożone miał w piramidkę, spoglądał na mnie bez cienia emocji. Spostrzegłam walizkę koło łóżka, podeszłam więc i rozsunęłam zamek. Powoli wyjmowałam swoje rzeczy. Na przeciwległej ścianie były otwarte białe podwójne drzwi, zajrzałam do środka. Szafa. Gdy do niej weszłam, automatycznie zapaliły się małe lampki i rzuciły światło na mojego męża. Obliziałam usta. Omiotłam wzrokiem pudła, szukałam mojej małej, czarnej torebki.

Odchrząknęłam lekko i zapytałam:

– Co im powiedziałeś?

– Skarbie... – Umyślnie przeciągnął to czułe słówko. – To, co ustaliliśmy.

– Wystarczyło, żebym przyznała, że nie było żadnego włamywacza. – Stałam przed nim.

– Wtedy byłbym bardzo zawiedziony, prawda? – Wstał, zbliżył się i dotknął mojego policzka.

Chciałam się skrzywić, ale nie powinnam pokazywać emocji.

– Nagrania z kamer? – Uniosłam podbródek. Wiedziałam, że Marco nie pozwoli sobie teraz na więcej; gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli, nie mógłby mnie zawieźć na pogotowie.

– Wszystko wyczyszczone. Wy tłumaczyłem, że nie były włączone, przecież dopiero się wprowadzamy.

– No tak. – Każdy ruch jak zawsze miał zaplanowany. Cholera.

– Pogrzebacz zniknął – zauważyłam.

– To był błąd, że tutaj stał. Dodawał wiarygodności i klimatu, ale nie mogę pozwolić, by moja żona przez nieostrożność się o niego raniła.

Co za hipokryta! Że też on potrafił sypać takimi tekstami prosto w oczy...

– Nabiłam się na niego, bo mnie skopałeś, nie byłam niezdarna! – Podniosłam głos, na co Marco od razu zacisnął szczękę. Pozwoliłam sobie na zbyt wiele... Ramiona lekko mi opadły, gdy próbowałam stłumić emocje.

– Weronika – rzucił ostrzegawczo przez zęby. – Skończyliśmy tę nedorzeczną rozmowę, sprawa jest załatwiona. – Włamywacz ukradł pudło z napisem „gabinet”, w którym był laptop. Natknęłaś się na niego na dole i uciekłaś do sypialni, gdzie chciał cię uciszyć. W trakcie szamotaniny upadłaś na pogrzebacz, a gdy zobaczył krew, spanikował i uciekł bez łupów.

– To właśnie im powiedziałam.

Nie skomentował już tego.

– Miałeś nad sobą panować... – dodałam półszeptem.

– A ty miałaś skończyć z pyskowaniem – sapnął, wyraźnie zdenerwowany. – Chyba będę musiał zrobić powtórkę z lekcji, bo ostatnio się zapominasz.

Łzy stanęły mi w oczach. Marco pogładził wierzchem dłoni mój policzek, po czym zjechał na szyję i przytrzymał na niej palce. Badał puls. Chciał wiedzieć, jak bardzo się boję. W ostatnie dni faktycznie pozwalałam sobie na zbyt wiele, był to skutek huśtawki nastrojów: źle spałam, do tego wszystko trwało zbyt długo, nie natrafiłam na nic, co pomogłoby mi się od niego uwolnić, no i ciągle zastanawiałam się, gdzie jest Angela...

– Czekam na poprawę – mruknął.

Żarliwie pokiwałam głową tylko po to, by zyskać na czasie. Zrezygnowałam z dalszej dyskusji, bo i po co miałabym z nim walczyć? Co mogło mi to dać? Nic. Musiałam koniecznie wymyślić, jak stąd uciec.

– Tak, oczywiście. Jestem taka nieswoja przez tę przeprowadzkę... To było takie nagłe – powiedziałam spokojnie to, co chciał usłyszeć.

– Przecież wiesz, że często zmieniamy miejsce. – Zmarszczył brwi.

– Tak, ale nie w jeden dzień.

– Był mały problem, tamtą nieruchomość mogłem sprzedać, ale oferta pozostawała aktualna tylko przez parę godzin. Więc chyba rozumiesz sytuację. – Zdjął marynarkę. Jego śnieżnobiała koszula miała kilka wgnieceń, pewnie nosił ją zaledwie parę godzin.

– Rozumiem. – Lubił, gdy na głos oznajmiałam, że coś jest jasne. – Byłeś w tym Krakowie?

– Tak, interesy same się nie robią. Wracalem przez całą noc, a sama wiesz, jak mnie przywitałaś – oznajmił tonem, przez który szybko pożałowałam, że w ogóle zaczęłam temat.

Tak naprawdę, kiedy Marco wyjeżdżał, czułam się znacznie lepiej. Wprawdzie nie mogłam zbyt szperać po jego rzeczach, bo zawsze zostawiał kogoś do pilnowania mnie, ale też nie musiałam udawać ani chodzić na baczość. Na początku bałam się Jerzego, jednak po czasie i do niego przywykłam. On sam starał się być tylko tłem.

– Mam jeszcze jedną ważną wiadomość. Jesteśmy w okolicach Trnavy. Może nie całkiem blisko, ale...

Zakręciło mi się w głowie, dosłownie zapomniałam, jak się oddycha. Moje oczy musiały zrobić się ogromne, kompletnie nie kontrolowałam swoich odruchów, a powinnam. Do tej pory podróżowaliśmy po Słowacji, trzymając się jak najdalej od mojej rodzinnej miejscowości, a teraz...

– Dobrze – odpowiedziałam cicho. Nawet nie liczyłam na to, że zignoruje moją reakcję, więc od razu dodałam: – Marco, czy mogłabym jechać na grób rodziców, skoro już jesteśmy w okolicy? Nie będzie lepszej okazji.

– Byłaś tam zaraz po pogrzebie.

– To było ponad rok temu. – Na pewno usłyszał wyrzut w moim głosie, ale nie dawałam rady powstrzymać emocji, chociaż mogłam spodziewać się za to kary.

– Wystarczy – fuknął.

Ostatnio traciłam rachubę, ile to już minęło? Piętnaście miesięcy? Jak długo trwał ten koszmar? Spojrzałam w okno; zaraz po wypadku bywałam u rodziców co dzień. Teraz musiałam zaspokoić się krótką modlitwą w domu i cieniem w postaci Marco, który nieustannie krążył obok.

Pokręciłam głową, odpędziłam łzy i się rozejrzałam.

– Dokończę rozpakowywanie – stwierdziłam.

Już miałam odejść, gdy chwycił mnie za łokieć.

– Będziesz miała na to całe dni. Nie chcesz spędzić czasu z mężem?

Uśmiechnęłam się ciut przesadnie i usiadłam na łóżku. Marco położył krawat równo przy marynarce, zdjął buty i przysiadł obok. Złożył na moich ustach delikatny pocałunek; dziwne, już dawno nie starał się gestami ugłaskać mnie za to, co robił. Bywał coraz brutalniejszy, teraz chyba nawet liczył na to, że zrobię scenę i znów się wyładuję, ale miesiące praktyk pokazały mi, jak walczyć z emocjami.

Dłoń Marco wylądowała na mojej nodze. Sunął nią w górę, nosem wodził po szyi, czułam jego oddech. Machinalnie zacisnęłam uda, gdy podjechał do ich złączenia, już zrobiło mi się gorąco i sucho w ustach, zmierzał do seksu.

– Idę pod prysznic – warknął. – Twoja rana i tak na nic nam nie pozwoli. – Spróbował się uśmiechnąć, ale wyszło z tego tylko lekkie uniesienie warg.

– Powinno się szybko zagoić – odpowiedziałam, a w myślach dodałam, że zostanie kolejna paskudna blizna.

Skinął głową. Zachowywał się poważnie, zawsze trzymał pion. Kiedyś sądziłam, że nie znamy się na tyle, żeby żartował i się przede mną otworzył, teraz natomiast wiedziałam już, że do szpiku przesiąkał go chłód.

Zniknął za drzwiami, a ja roztrzęsłam się od tłumionych emocji. Oddychałam głęboko, chcąc jak najszybciej je opanować. Musiałam to zrobić, przecież nie mogłam beczeć. Poklepałam się delikatnie po twarzy. No już, weź się w garść! Sama się w to wpakowałaś, a teraz znajdź sposób, by z tego wybrnąć.